GAZETA POLSKA
STREFA WOLNEGO SŁOWA

190 lat „Gazety Polskiej"

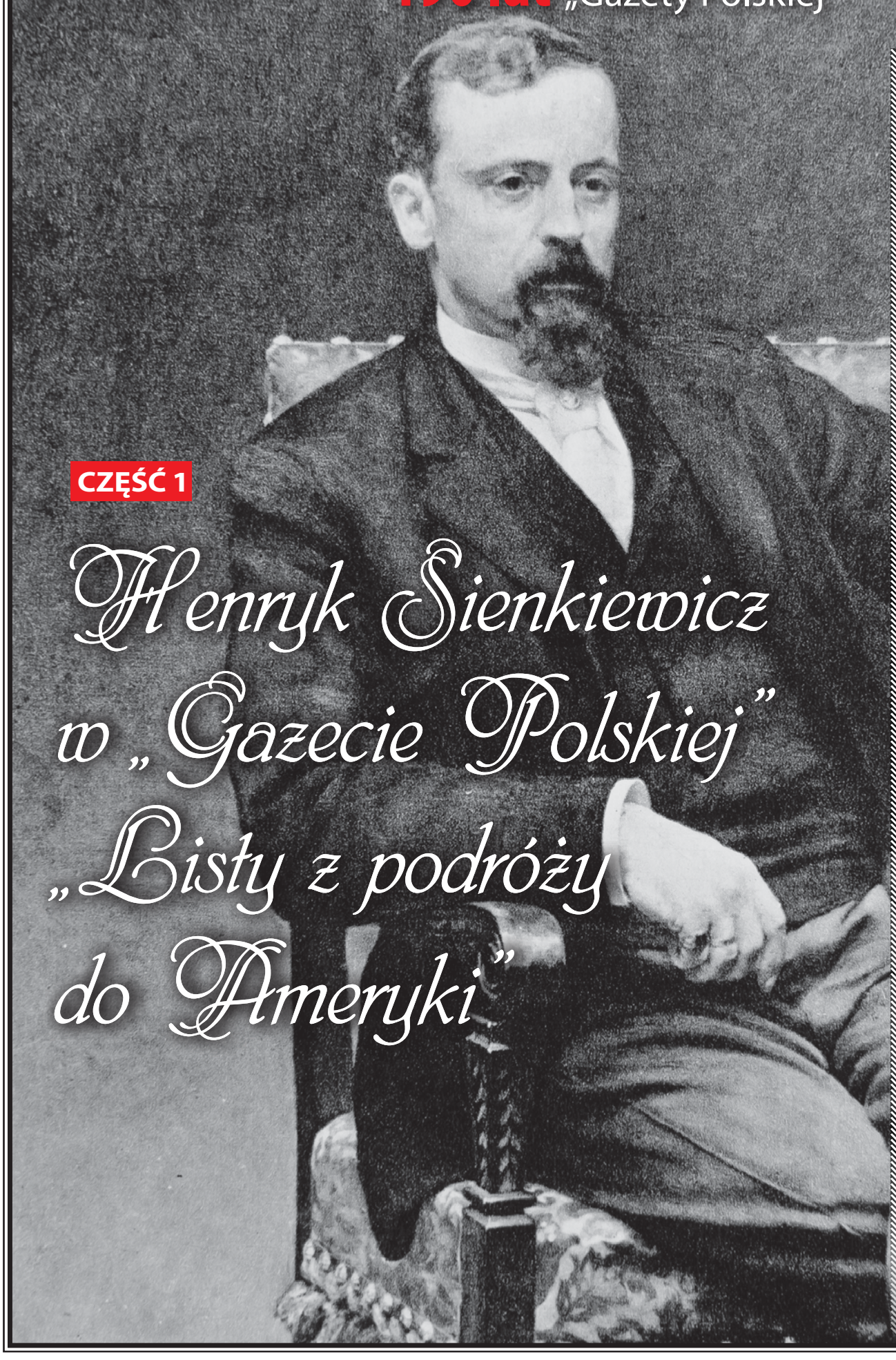

CZĘŚĆ 1

Henryk Sienkiewicz w „Gazecie Polskiej" „Listy z podróży do Ameryki"

Dodatek pod redakcją
Agnieszki Kowalczyk

Odkąd Henryk Sienkiewicz zaczął publikować na łamach „Gazety Polskiej", stała się ona jednym z najlepszych i najpoczytniejszych naszych periodyków. Nie mogło być inaczej, skoro blasku przydawało jej najznakomitsze bodaj pióro przyszłego noblisty, wielkiego pisarza, autora niezapomnianych powieści „ku pokrzepieniu serc", które umacniały ducha polskości w zniewolonym narodzie. „Była to najświetniejsza epoka »Gazety« – jak twierdzi ówczesny publicysta i literat Antoni Zaleski – ona to miała szczęście drukować pierwsza »Szkice węglem«, »Przez stepy«, »Hanię«…". Sienkiewicz zaś stał się jej beniaminkiem, „jej ukochanym dzieckiem". To jego felietonom, listom z podróży, nowelom i powieściom zawdzięczała „Gazeta Polska" swój wielki sukces. Rozpoczynając w 1873 r. dziennikarską przygodę w naszym piśmie, Litwos, bo taki obrał sobie pseudonim, zabłysnął najpierw swymi przenikliwymi felietonami (z cyklu „Bez tytułu" i „Chwila obecna"), by wkrótce podbić serca czytelników „Listami z podróży do Ameryki".

Mecenas projektu PKO Fundacja

Kalifornijskie lasy, które przemierzał Sienkiewicz (Giant Redwood Trees of California)

Zanim jednak Sienkiewicz zaczął nadsyłać pierwsze listy z Ameryki, najpierw pozwolił swoim czytelnikom przyjrzeć się bliżej naszej starej Europie i panującym w niej stosunkom społecznym. W polu jego obserwacji znalazły się największe europejskie miasta, w których po drodze przyszło mu się zatrzymać.

Indianie, rdzenni mieszkańcy Ameryki

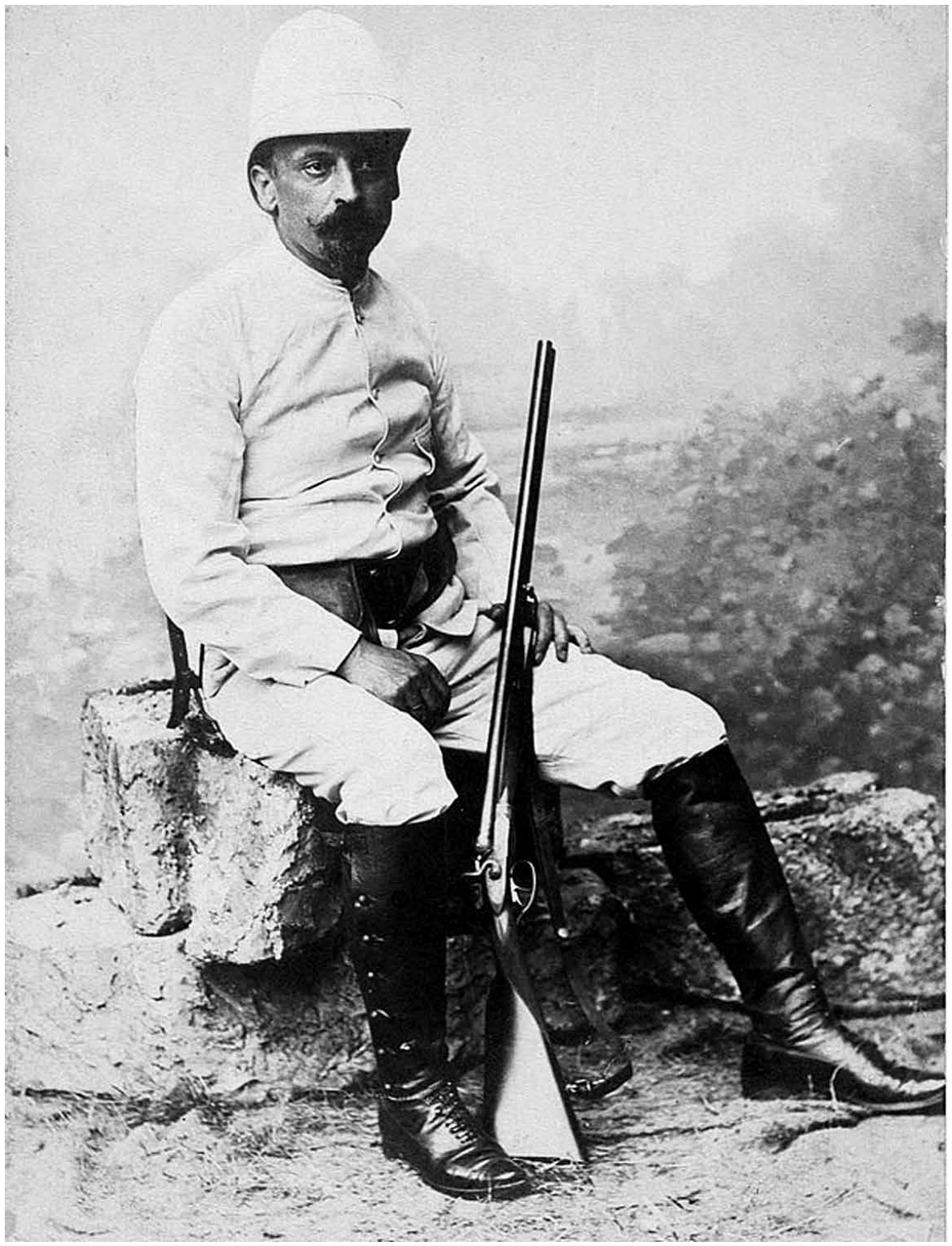

Portret Henryka Sienkiewicza w stroju safari, lata 90. XIX wieku, fot. Juliusz Mien

I

W drodze do Czerwonoskórych, czyli rzut oka na Europę

„Listy z podróży do Ameryki” – zbiór czternastu szkiców z kilkuletniej włóczęgi po „nowym kontynencie” (1876–1878) – odsłania osobiste przeżycia narratora – gawędziarza, humorysty, malarza przyrody, twórcy wrażliwego na piękno świata i na ludzkie dramaty.

Pięć pierwszych listów to zapiski turysty, który pokonuje trasę z Polski do Anglii, przepływa Atlantyk, by przemierzyć koleją transkontynentalną wszerz całą Amerykę – od Nowego Jorku po San Francisco. Następny zaś szkic (VI) tworzy ciekawe studium na temat stosunków społeczno-obyczajowych panujących w Ameryce, a dalsze (VII-X), których akcja rozgrywa się w górskich puszczach Dzikiego Zachodu, zyskują charakter robinsonady. W pozostałych Litwos okaże się równie nieustraszonym poszukiwaczem przygód – zwłaszcza na pustyni Mohawe (XI) oraz w stanie Wyoming podczas polowania na bawoły (XII-XIV).

Ameryka od dawna fascynowała naszych rodaków jako ziemia wytęsknionej wolności, Ziemia Obiecana, do której ciągnęli emigranci różnych narodowości. Teraz czytelnicy „Gazety Polskiej” mogli oglądać Nowy Świat oczami Sienkiewicza, który pragnął skonfrontować mit szczęśliwej Ameryki z rzeczywistością oraz pokazać nam, co warto z tej „najbardziej postępowej” cywilizacji przeszczepić na rodzimy grunt. Ujęty w szczególności ideami wolnościowymi Stanów Zjednoczonych chciał dowieść, że Amerykę pod wieloma względami można stawiać za wzór narodom europejskim. Tam bowiem „państwo istnieje dla ludzi”, tam ucieleśniają się w sposób autentyczny ideały wolności politycznej i społecznej – demokracji, równouprawnienia i tolerancji. Sienkiewicz wiedział, że takiej wolności, w której „dusza się

Oto jak Sienkiewicz wyobrażał sobie, jak w ciemną, dżdżystą noc jakaś wychudzona dziewczęca ręka dzwoni do furty „Żółtego domu": „Zza bramy nie odpowiada groźne warczenie psa ani gniewliwe: »Kto tam?« stróża nocnego. Drzwi otwierają się cicho, [...] jakaś ciepła, łagodna dłoń bierze zziębniętą rękę nieszczęśliwej i prowadzi ją za sobą. Nikt jej się nie pyta: co za jedna? skąd przyszła? [...]. Po chwili znajduje się w małym, schludnym pokoiku. Czyste, biało zasłane łóżko, na stole dymi ciepły posiłek, pali się lampa, leży Biblia, nad łóżkiem zaś głowa Chrystusa w jasnej glorii patrzy na nią słodko, łagodnie, zachęcająco". Gdy owa Jenny zostaje sama w pokoju, rzuca się na kolana przed obrazem Chrystusa i cała pogrąża w modlitwie. Nazajutrz, kiedy schodzi na śniadanie, witają ją inne dziewczęta oraz jakieś „anielskie" panie – opiekunki owych zbłąkanych dusz. Nawiązują one bliskie relacje ze swymi podopiecznymi i przy każdej sposobności okazują im życzliwość i zrozumienie.

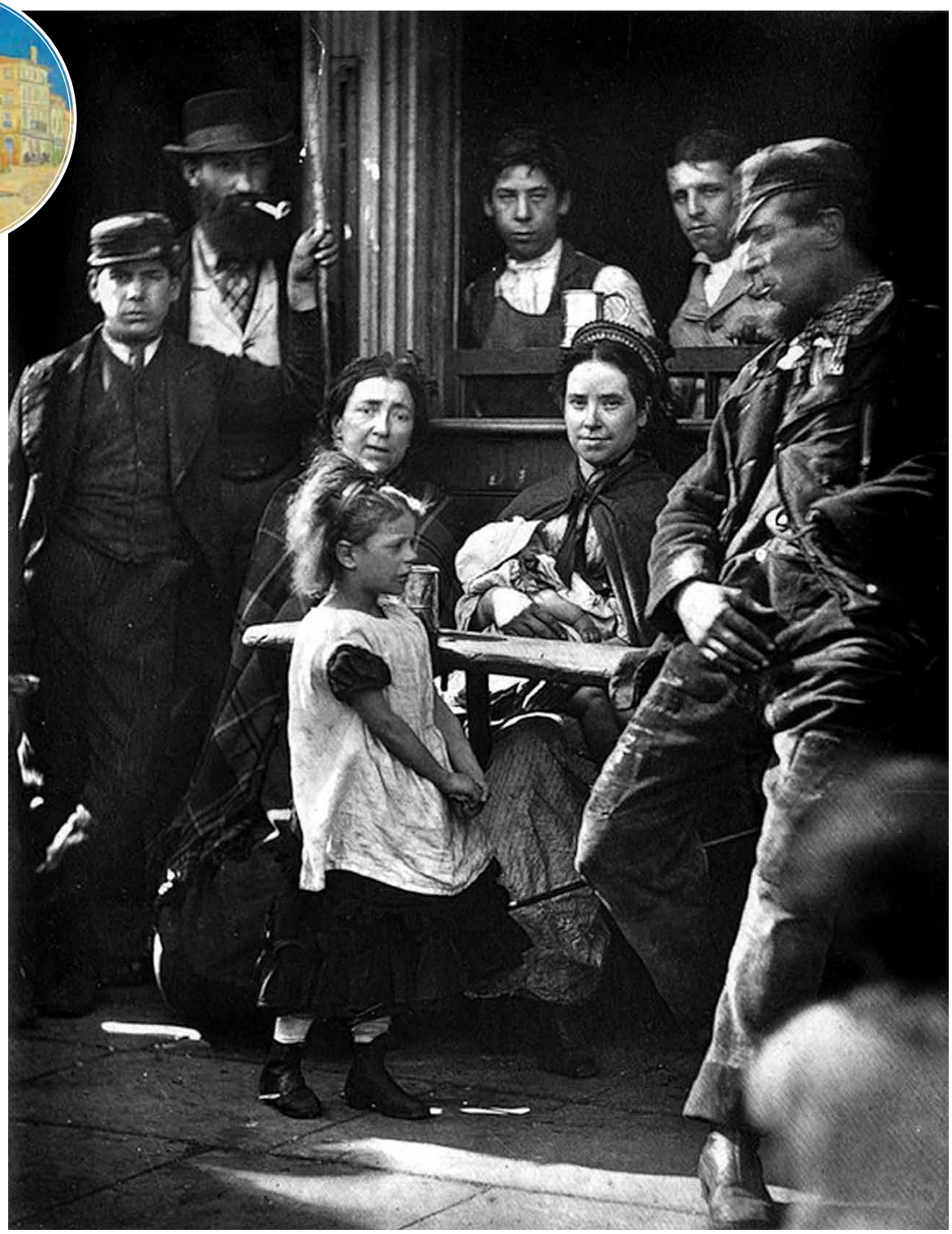

Ulice Londynu w XIX wieku

rozpromienia", spragnieni byli wszyscy Polacy. Pisząc zatem o Ameryce stanowiącej dla nich symbol swobody i niezależności, starał się równocześnie zachować daleko idący obiektywizm, tak by ukazać prawdziwe oblicze Nowego Świata, a nie tylko idealne o nim wyobrażenie.

Jak zrodził się projekt wielkiej podróży

15 lutego 1876 r. grono przyjaciół żegnało Henryka Sienkiewicza na dworcu kolei warszawsko-wiedeńskiej. Udawał się on w wielką podróż do Ameryki jako korespondent „Gazety Polskiej". Decyzja o wyjeździe poprzedzona została oczywiście długimi naradami w kręgu przyjaciół i znajomych. Pomysł wyjazdu zrodził się na jednym z artystycznych wtorków u Heleny Modrzejewskiej, królowej warszawskiej sceny. Wywiązała się wówczas żywa dyskusja na temat Kalifornii, bowiem grupka zaprzyjaźnionych osób z literacko-artystycznej bohemy zamarzyła o podboju Nowego Świata. „Co za wspaniałe polowanie człowiek mógłby sobie urządzić!" – wykrzyknął rozentuzjazmowany Sienkiewicz, po czym dodał – „Miałbym ochotę pojechać i zobaczyć ów kraj słońca i prymitywu natury!". Zebranych ogarnęła euforia na myśl o wyprawie na drugą półkulę. Początkowo miała to być półroczna wycieczka krajoznawcza, ale wkrótce projekt przerodził się w szalony plan, by w amerykańskiej głuszy założyć polską osadę. Helena Modrzejewska wspominała:

„Nasi przyjaciele mówili dużo o »nowym świecie«, o nowym życiu, innych warunkach bytu, i możliwości osiedlenia się gdziekolwiek w tym kraju wolności, z dala od codziennej udręki, na którą narażony jest każdy Polak pod rosyjskim albo pruskim zaborem. Henryk Sienkiewicz był pierwszym do tego, żeby przemawiać za emigracją. Stopniowo inni szli w jego ślady, i w niedługim czasie pięć osób wyraziło wolę szukania przygód w dżunglach dziewiczego kraju. Mój mąż, widząc zapał tych młodych ludzi, powziął myśl założenia kolonii w Kalifornii na wzór farmy Brooka. Projekt został przyjęty przez aklamację".

Do grona owych pięciu śmiałków, gotowych przeobrazić się w amerykańskich farmerów, należeli oprócz Henryka Sienkiewicza – Karol Chłapowski (mąż Modrzejewskiej), Julian Sypniewski, Lucjan Paprocki oraz Stanisław Witkiewicz. Najpierw na zwiady wyruszyć mieli Litwos z Sypniewskim, by zorientować się w amerykańskich realiach i znaleźć najlepsze miejsce do założenia „polskiej kolonii". Myśl o wyprawie za ocean pochłonęła Sienkiewicza bez reszty. Miał już dość dusznej atmosfery Warszawy, udręki życia w kraju pod zaborami, narzuconej mu roli „chochlika-felietonisty". Wyruszając na inny kontynent, pragnął przenieść swych czytelników znad Wisły za Atlantyk, wprowadzić w zupełnie inną, ale jakże pociągającą rzeczywistość złotej Kalifornii, Dzikiego Zachodu, niezmierzonych prerii i dziewiczych puszcz pełnych grzechotników i niedźwiedzi grizzly.

Odczłowieczone machiny ponakręcane kluczem

Zanim jednak Sienkiewicz zaczął nadsyłać pierwsze listy z Ameryki, najpierw pozwolił swoim czytelnikom przyjrzeć się bliżej naszej starej Europie i panującym w niej stosunkom społecznym. W polu jego obserwacji znalazły się największe europejskie miasta, w których po drodze przyszło mu się zatrzymać. Gdy pociąg wjechał do stolicy Cesarstwa Niemieckiego, dwie godziny spędzone na dworcu w Berlinie pozwoliły mu poczuć, że znalazł się w mieście-twierdzy Żelaznego Kanclerza Bismarcka, potomka naszych pruskich ciemiężców. Za symbol tego miejsca uznał posąg Zwycięstwa – „ciężki, niezgrabny, trywialny, podobny do wrony, która usiadła wypadkiem na słupie w Berlinie i gotuje się odlecieć". Pierwsi napotkani ludzie to żołnierze w hełmach ze złotymi ostrzami, którzy przechadzali się po dworcu niczym rzymscy legioniści. Miarowe, jednostajne kroki, surowy wyraz twarzy, mechaniczne ruchy rąk i nóg czyniły z nich w oczach Litwosa jakieś odczłowieczone machiny ponakręcane tym samym kluczem, którym jest „wola wyższa, nieodgadniona nigdy, groźna, chmurna, kryjąca w fałdach togi wojnę i pożogę".

Kolejnym przystankiem na trasie podróżnika był Deutz. Tu z hotelowego okna oglądał zatopioną w nocnych ciemnościach Kolonię, nad którą górowała wyniosła i milcząca katedra. Cała prześwietlona blaskiem księżyca jawiła mu się jako przedziwny twór gotyckiej architektury, w którym było „coś mistycznego, coś, co przejmuje duszę tajemniczym dreszczem i wyobraźni przyprawia skrzydła. [...] Wobec tego mrocznego gmachu, wobec tych spiętrzonych jak góry sklepień nie czujesz się zbłąkanym i zmęczonym dzieckiem wobec ojca, ale prochem wobec Majestatu".

Za jedno z najpiękniejszych i najbardziej poetycznych miast Europy uznał Sienkiewicz Brukselę położoną wśród lesistych wzgórz i cudnych dolin. Dotarł do niej o świcie, gdy miasto „otrząsało ze siebie białawe tumany nocy i z mgły wywijało się skąpane w różowym świetle". Miał nieodparte wrażenie, że Bruksela w istocie się do niego uśmiecha. Widział w niej jakąś nieziemską enklawę spokoju i szczęścia. Na ulicach panował ruch. Twa-

rze Flamandek rozwożących o poranku świeże mleko zdawały się promieniować radością. Wszystko, co tu zobaczył i czego doświadczył, było „spokojne, schludne, harmonijne, ciche, szczęśliwe jakieś, […] pamiątkowe i poetyczne”. Toteż nie mógł uwierzyć, że tym sielskim ustroniem wstrząsnęła kiedyś wielka historia. Belgowie przez długie wieki znajdowali się pod obcym panowaniem – Francuzów, Austriaków, Hiszpanów, Holendrów – aż w końcu wywalczyli sobie niepodległość w 1830 roku. Na myśl o Belgii i jej dziejach Sienkiewiczowi zawsze przypominać się będą słowa naszego wielkiego kaznodziei Piotra Skargi: „Siejba była w płakaniu, ale żniwo w weselu; niedola ich minęła jako strzała i jako ptak na powietrzu, a rozkosze jakby morze nieprzebrane trwają”.

Gdy w pogodne letnie wieczory belgijskie osady pogrążały się w absolutnej ciszy, tak że nawet listek na drzewach nie zaszeleścił, wówczas starzy mieszkańcy mówili, że „to Chrystus przechadza się po wiosce”. Dla Sienkiewicza był to najszczęśliwszy kraj na świecie.

Toteż przerażała go myśl o zniszczeniu tej idylli przez nieobliczalny żywioł historii. „Może za kilka lat – pisał dalekowzroczny Litwos – nadejdą czasy, że spiczaste hełmy nadciągną tu od strony Renu, spokojni dziś mieszkańcy będą słyszeć rżenie „konia Attyli”, po nocach huk armat wystraszy słowiki z wiosek, skończą się przechadzki Chrystusa, a zamiast dzisiejszych pieśni przy pracy zabrzmi inna […] Was ist des Deutschen Vaterland”. I rzeczywiście, jego słowa okazały się prorocze, gdyż podczas dwóch kolejnych wojen światowych Belgia znalazła się pod okupacją niemiecką.

Bezdomni chłopcy z Nowego Jorku. Scena z życia ubogich emigrantów

Owoce, ser, pomidory i tarta bułka

Jadąc dalej, Sienkiewicz we francuskim Calais wsiadł na statek i przeprawił się przez kanał La Manche, by dotrzeć do Anglii i by móc w niej odkrywać przez dwa dni tajemnice Londynu. Zatrzymał się w nowoczesnym hotelu Charing Cross, który, niewiele mniejszy od naszego powiatowego miasteczka, a z pewnością ruchliwszy, przytłoczył go swoim ogromem. Od razu poczuł się niekomfortowo, ponieważ nie znał angielskiego i trudno mu było uniknąć zabawnych sytuacji komunikacyjnych. Tak na przykład gdy pewien ospowaty dżentelmen, mówiąc coś po angielsku, ostentacyjnie pocierał bolące kolano, Sienkiewicz nie wiedział, o co chodzi i powtarzał w kółko jeden znany zwrot: „All right”, którego nauczył się od pewnego dziennikarza w Warszawie. Innym razem zaś podczas rejsu przez Atlantyk, w porze lunchu okazało się, że nie rozumie treści jadłospisu, o czym zresztą tak opowiada: „Przychodzi steward, czyli lokaj okrętowy. Jest to stara i wyschła jak wosk mumia ubrana we frak i biały krawat. Mumia ta […] pokazuje żółte zęby i zaczyna coś mówić, a raczej skrzypieć mechanicznie jak blaszana chorągiewka […]. Niewiele myśląc, pokazuję jej na karcie jakąś potrawę, której nazwa angielska podobała mi się więcej od innych z powodu swego brzmienia. Mumia odchodzi, następnie powraca i przynosi mi morele”. Okazało się, że wszyscy dostali zupę, a tylko nasz wojażer owoce, potem zaś ser, pomidory i tartą bułkę. Po zjedzeniu tego wszystkiego „na deser” dowiedział się, że siedzący obok niego podlotek zna francuski i że mógł mu służyć za tłumacza.

W związku z tym dawał do zrozumienia polskim czytelnikom, że umiejętność porozumiewania się w obcym języku jest niezbędna we współczesnym świecie: „Pomyślałem sobie przy tym, że gdyby w szkołach uczono mnie w swoim czasie zamiast mnóstwa innych rzeczy choć trochę angielskiego, moja edukacja byłaby o wiele zupełniejszą. Mój Boże! pamiętam, jak […] ucząc się zoologii, powtarzałem po całych godzinach […]: „Jedne są ogoniaste, drugie ogonów nie mają… […]. Teraz zapomniałem, które są ogoniaste, a które ogonów nie mają, a nie umiem powiedzieć kelnerowi, żeby mi dał wody do umycia […]”. Dlatego nic ze swej aktualności nie straciło stwierdzenie Litwosa, że „dziś posiadać znajomość języków jest to mieć chleb w ręku”.

Smutny los wyrostka z Hyde Parku

Na obejrzenie Londynu Sienkiewicz miał tylko dwa dni. Zwiedził więc Westminster, gdzie przyglądał się z zaciekawieniem adwokatom i sędziom w długich białych perukach, którzy przechadzali się pod gotyckimi krużgankami i „pokrzepiali dżinem wyczerpane wymiarem sprawiedliwości siły”. Obejrzał British Museum, skąd turyści, jak przekornie stwierdził, wynosili w kieszeniach pół greckiego Akropolu. Zajrzał też do ogrodu zoologicznego i przejechał się podziemną koleją londyńską, kupując specjalnie bilet do wagonu trzeciej klasy, by z bliska przypatrzeć się angielskiemu ludowi. Z kolei przechadzka po Hyde Parku uświadomiła mu, że Anglia jest krajem wielkich kontrastów społecznych i w tej samej przestrzeni, jakby rzecz całą ujął Kalwin, egzystują skazani już za życia na zbawienie bądź potępienie. Przykuły jego uwagę spacerujące tędy kobiety o anielskich twarzach, które wydawały mu się jakimiś niebiańskimi istotami nie z krwi i kości, ale z „mieszaniny promieni słonecznych, mgły, blasków jutrzenki i duszy”. I takie też nieziemskie było ich życie – w przepychu, bez brzemienia niedoli i trosk, „wykwintne, ogładzone, wysokie, jak gdyby zawsze świąteczne”. To kobiety-kwiaty, które nie znają zła ani pokus. Żyją po to, by wyjść za mąż, urodzić dzieci, być dobrymi matkami i żonami. Obok tych istot Sienkiewicz zobaczył też w Hyde Parku szesnastoletniego chłopca w łachmanach, o czole idioty, spróchniałych zębach, który rośnie na potępieńca. Strasznie przeklina i z zimna podpija dżin. Nasz korespondent dowiaduje się, że jego ojciec-zamiatacz ulic został aresztowany, a cała rodzina – chora matka, trzy siostry i trzej bracia – trudnią się, jak większość tutejszych nędzarzy, wyrobem pudeł. W swych listach kreśli więc niezwykle sugestywny portret ulicznego franta, który nie ma pojęcia o Bogu, nie umie się modlić, a przed kradzieżą powstrzymuje go tylko strach kary. „Tymczasem nędza mówi do niego: »Zabij!«, głód: »Ukradnij!«, chłód: »Upij się!«. Oto jego nauczyciele: innych nie ma. Czy ich posłucha? Tak: jak tylko przestanie się bać policji”.

Sienkiewicz w losie tego dorastającego dziecka ulicy widzi straszny paradoks Anglii, która zapewnia swoim obywatelom wszystkie demokratyczne swobody, ale jednocześnie patrzy z obojętnością na los przymierających głodem tysięcy wyrobników. Ten szesnastoletni wyrostek z Hyde Parku – jak skwitował ironicznie Litwos – to przecież obywatel Zjednoczonych Królestw, któremu państwo przyznało prawo głosowania, korzystania ze wszystkich gmachów, ogrodów i placów publicznych, uczyniło posiadaczem Indii, Australii i Kanady. Ale cóż z tego, skoro ów „prawdziwy potentat” jest nędzarzem, prymitywnym w swych potrzebach troglodytą. Sienkiewicz wcisnął mu w dłoń szylinga. Takiej sumy syn londyńskiej ulicy jeszcze nigdy nie widział. Toteż aż zawył z radości, a swój skarb ukrył w najlepszej skrytce – we własnych ustach i uciekł jak dzikus, nie podziękowawszy za datek.

Mniej gadać, więcej robić

Nasz pisarz odnalazł jednak w Londynie i takie instytucje, które autentycznie przejęły się losami młodych ludzi zagrożonych upadkiem moralnym i wejściem na drogę występku. Takim właśnie miejscem był „Żółty dom”, czyli „przytułek dla zbłąkanych dziewcząt pragnących wrócić na drogę cnoty”. „Modlitwa, praca ręczna, nauka, przeplatane rozrywkami: oto w jaki sposób schodzi czas mieszkankom »Żółtego domu«”. W oczach Sienkiewicza był on przede wszystkim miejscem, gdzie dziewczęta doświadczały moralnej odnowy, kształciły się i zdobywały zawód, a potem otrzymywały pracę, by mogły samodzielne rozpocząć nowe życie. Z tego londyńskiego domu wychodziły więc najlepsze służące i najlepsze robotnice, a wiele z nich zakładało własne rodziny i spełniało się w roli żon i matek.

Zupełnie inaczej przedstawia się działalność dobroczynna w Polsce – jak przekonywał autor listów, który doświadczenia z zagranicznych wojaży zawsze odnosił do sytuacji we własnym kraju, dokonując trafnych analiz porównawczych i wyciągając konstruktywne wnioski. Tym razem konfrontacja wypadła na naszą niekorzyść. Wystarczyło zajrzeć do Warszawy, by przekonać się, jak wyglądała polska filantropia, a dokładniej mówiąc, dwie jej odmiany – „teatralna” i „parlamentarna”. Pierwsza ma oprawę iście sceniczną – damy w koronkach, aksamitach, upudrowane wystawiają „dystyngowaną maskaradę”, a zebrane środki przeznaczą na cele charytatywne. Druga zaś przybiera postać sesji, posiedzeń, zebrań komitetów, podczas których nikt nie chce zdradzić, na co idą zgromadzone fundusze. Efektem zaś tych gorących debat były bale, koncerty i kwesty organizowane na szczytne cele. Był to istny rozkrzyczany parlament – jak pisał Sienkiewicz – „zgiełk, hałas; obok grano na skrzypcach w filantropijny sposób; dalej sprzedawano w bazarach, umizgano się w celach miłosierdzia do pięknych kobiet; uszczęśliwiano się […] w buduarach. Roztańcowane i spocone miasto śpiewało na nutę z »Pięknej Heleny«: »Jam – jest – gród litościwy […] – jam jest miłosierdzia wzór!« – ale pieśń tę tuż obok głuszyły liczne jak piasek w morzu głosy […]: »Łaskawi i miłosierni panowie, choć grosik na chleb!«”. Tak więc Sienkiewicz stawiał Polakom za wzór działalność prywatnych angielskich instytucji dobroczynnych, które skutecznie zaspokajały palące potrzeby społeczne. „Mniej się tu gada, a więcej robi” – oceniał Litwos całe przedsięwzięcie, żałując, że nie ma kiedy poznać innych tego typu ośrodków i organizacji tak efektywnie działają-

Naszego podróżnika rozczarowała kuchnia amerykańska, którą uznał za najgorszą na świecie, gdyż nie dbało się tu o to, by zjeść smacznie i zdrowo, ale by jak najszybciej napełnić żołądki i wrócić do robienia businessu. Dlatego też, gdy zasiadł do obiadu w Hotel Center, usłużni Murzyni postawili przed nim wszystko od razu – „zupę, mięsiwa, ryby, jaja, puddingi, pomidory, kartofle, lody, poziomki, jabłka, migdały, kawę, słowem niezliczoną ilość dań w małych dozach", które szybko stygnąc, stawały się „zimne, skrzepłe, zdębiałe".

cych na terenie Anglii. Niestety, czas naglił, a naszego podróżnika czekała wciąż droga bez końca. Opuszczał Londyn o zmroku, udając się pociągiem do Liverpoolu. Noc robiła się coraz głębsza, tak że z okna wagonu nie mógł już nic dojrzeć. „Czasem pociąg wpadał między wielkie zakłady, w których topią żelazo. Olbrzymie ogniska pieców, jaskrawe płomienie, czarne postacie ludzkie na tle ognistym, huk młotów, zgrzyt i wycie piłowanego żelaza, tumany dymu: wszystko to stanowiło jakby obraz rzeczywistego piekła". Oto teraz pozostawiał za sobą Europę – złowrogi Berlin, sielską Brukselę i pełen kontrastów Londyn – by wkrótce wsiąść na pokład „Germanicusa". To właśnie najpotężniejszy z parowców linii „White Star" uniósł go na wodach oceanu wprost do Nowego Świata.

II

Nowy York. Dom wariatów cierpiących na febris aurea

Po siedmiu dniach i nocach żeglugi przez Atlantyk Sienkiewicz dotarł do amerykańskiej Ziemi Obiecanej. Na zachodnim krańcu widnokręgu zamajaczyła sinawa chmurka. „Ląd! Ląd!" – krzyczano zewsząd.

Po chwili zaczęły się rysować na horyzoncie zielone i żółte piaszczyste wybrzeża, lasy masztów, dachy domów i spiczaste wieże kościelne. Był to Nowy Jork. Z dala wydawał się ślicznym miastem, które „jak ongiś Wenus wynurzało się z morskiej kąpieli", ale gdy tylko statek dobił do portu, reporterowi „Gazety Polskiej" ukazało się brudne nadbrzeże z zalegającymi wszędzie kupami śmieci, a ludność, którą tu spotkał, wyglądała tak „jakby przed chwilą urwała się od szubienicy". Ale, o dziwo, za moment sceneria zmieniła się diametralnie. Oto Sienkiewicz wszedł do ekskluzywnego Cenral Hotelu na Brodwayu, który olśnił go swym ogromem i przepychem, tysiącem świateł, marmurowymi wnętrzami, brązami, dywanami i zwierciadłami. Obok gmachów banku i poczty stanowił on najpiękniejszy budynek miejski.

Machina do robienia pieniędzy

Spacer po Brodwayu, największej i najruchliwszej ulicy Nowego Jorku, uświadomił pisarzowi, że znalazł się w mieście pozbawionym śladów przeszłości, jakby obdartym z historii. Zupełnie inaczej było w Europie, gdzie każdy naród miał swego ducha, który przemawiał do turysty z miejskich ulic, zaułków, kamienic. Miał swój znak rozpoznawczy, swój symbol, swego patrona. „Wiedeń ma swego Stefana – wyliczał Litwos – [...] Wenecja – swoje kanały, Rzym – papieża [...], Kolonia – tum najpierwszy na świece, Kraków – Wawel i Matejkę [...], wszędzie widzisz historię zakrzepłą w mur i kamień, wszędzie pewną odrębność narodową, wszędzie jakiś wielki ideał, którego początek w mrokach przeszłości". W Nowym Jorku tego nie było. Zabytki z odległych wieków zastąpiły tu banki i hotele, a ducha przeszłości – duch nowoczesności, postępu i kupieckiej kalkulacji. Bożyszczem nowojorczyków stał się pieniądz i całe miasto zdawało się oddawać cześć złotemu cielcowi: „Handel, handel i handel – pisał rozgoryczony Litwos – business i business, oto, co widzisz od rana do wieczora, o czym ustawicznie słyszysz i czytasz. Na rzut oka nie jest to miasto zamieszkane przez taki a taki naród, ale wielki zbiór kupców, przemysłowców, bankierów, urzędników, kosmopolityczny zarwaniec, który imponuje ci ogromem, ruchliwością, przemysłową cywilizacją, ale nuży cię jednostronnością społecznego życia nie wytwarzającego nic więcej prócz pieniędzy". Bo kiedy tak Sienkiewicz przemierzał ulice Brodwayu, wciąż narastało w nim przekonanie, że Nowy Jork to samonakręcająca się machina do robienia pieniędzy. Wszędzie panował niesamowity gwar i ścisk, tłoczyły się powozy i omnibusy, gorączkowy pośpiech udzielał się wszystkim. Kościoły robiły wrażenie niepozornych, budowanych jakby naprędce i niemających w sobie tego majestatu co świątynie europejskie. W tygodniu stały zamknięte, bo jak z gorzką ironią stwierdził nasz korespondent „Gazety Polskiej", w dzień powszedni business nie pozwala się modlić, ale za to leżące nieopodal małe cmentarzyki były tłumnie odwiedzane, służąc bardziej za miejsce wytchnienia niż wiecznego spoczynku. Dalej przyglądał się witrynom sklepów – urządzonym bogato, ale bez smaku. Przemierzał brudne, zabłocone i źle wybrukowane ulice, po których przechadzały się bezdomne świnie z obszarpanymi przez psy uszami.

Wall Street to z kolei ulica bankierów – niewielka, dość ciasna, ale w niej złożone były największe skarby Nowego Jorku, za które można by kupić całe kraje. Mieścił się tu „szpital wariatów cierpiących na febris aurea", jak żartobliwie określił nasz reporter nowojorską giełdę, która przypomina istne pole bitwy. „Widzisz zaczerwienione twarze, słyszysz ochrypłe głosy. Ludzie przyskakują do siebie i krzycząc jakby w napadzie maligny, wytrząsają sobie pięściami przed oczyma. [...]. Sądzisz, że tłumy te ogarnęła naraz niewytłumaczona wściekłość, pod wpływem której natychmiast poczną się mordować wzajemnie". Okazuje się jednak, że „krzyki i wywijania pięściami" są tu na porządku dziennym i stanowią zwykły sposób komunikacji maklerów giełdowych.

Gazeta – rzecz powszechna

Jeszcze bardziej zaintrygowały Sienkiewicza okolice City Hall, gdzie miały swoje siedziby redakcje najpotężniejszych pism amerykańskich, takich jak „Herald", „Tribune", „Times", „Staats-Zeitung". Nasz publicysta próbował odkryć przed polskimi czytelnikami fenomen prasy amerykańskiej, tajemnicę jej wielkiego powodzenia i niekwestionowanej pozycji w świecie. Wszystkie przecież z tych dzienników drukowały setki egzemplarzy dziennie, a wśród nich prym wiódł „Herald", który przynosił miliony dolarów rocznie, zatrudniał tysiące dziennikarzy, a jego redaktorzy uważani byli za „najpierwsze potęgi w kraju". Największe amerykańskie dzienniki to niezwykle prężnie działające instytucje, świetnie zorganizowane pod względem zdobywania informacji. „Niezmiernie liczne linie telegrafów przynoszą tu codziennie wiadomości z całego świata i całych Stanów Zjednoczonych [...]. Całe armie reporterów opłacanych na wagę złota [...] czuwają, by nic godnego uwagi [...] nie uszło ich wiadomości". Tygodniowy nakład pierwszego lepszego amerykańskiego dziennika przewyższał roczną liczbę egzemplarzy wszystkich razem wziętych gazet warszawskich!

Dla Sienkiewicza fundamentalna różnica między prasą amerykańską a europejską tkwiła w tym, że pierwsza miała profil informacyjno-polityczny, nastawiona była na szybkość przekazu wiadomości i ich dokładność, a dla drugiej niezaprzeczalną wartość stanowiły walory literackie publikacji, co pozwalało zaistnieć i rozwijać się uzdolnionym ludziom pióra. Dlatego amerykańskie redakcje to bardziej agencje prasowe niż środowiska skupiające obiecujących literatów. Z kolei jeżeli u nas prenumerowanie gazety uważało się za pewnego rodzaju zbytek, to w Ameryce czytanie prasy było na porządku dziennym i wynikało z autentycznej potrzeby każdego człowieka. Gazety kupowało się tam tak samo jak chleb.

Murzynka z pomarańczą i irlandzka solidarność

Pobyt w Nowym Jorku był dla Sienkiewicza doskonałą okazją, by bliżej poznać jego mieszkańców, którzy tworzyli jedną wielką mozaikę ludów z przeróżnych zakątków świata. Z nieukrywaną ciekawością przyglądał się każdej nacji, tworząc barwne szkice charakterologiczne i obrazki obyczajowe. Na ulicach portowych spotykał wielu Murzynów, którzy pracowali tam jako wyrobnicy, furmani, tragarze. Dla Europejczyka widok to nader osobliwy. Od razu rzucała się w oczy odmienność ich fizjonomii – spłaszczone nosy, czarna skóra, białe, wielkie zęby, pokryte „kłębami czarnej wełny" głowy, które nie znają grzebieni ani nożyczek. W przeciwieństwie do Europejczyków nosili wszystko na głowach – towary,

Scena z życia dawnego Nowego Jorku

naczynia, wszelkiego rodzaju pakunki i zapasy żywności. Przed samym Sienkiewiczem paradowała oto jedna z murzyńskich kobiet z pomarańczą, która, umieszczona w wełnistej czuprynie niczym w miękkim gnieździe, nie spadała mimo jej dynamicznych ruchów. „Widząc, że patrzę na jej głowę – opisuje zabawną sytuację Litwos – czarna miss zaczęła podskakiwać wraz z pomarańczą, na koniec wykrzyknąwszy: »All right, sir!« – ukazała mi szereg białych, wielkich zębów i oddaliła się, bardzo zadowolona ze swej zręczności”.

Nędzne dzielnice portowe zamieszkiwali też oprócz Murzynów biedni emigranci, których nie stać na podróż w głąb kontynentu, co dawałoby im możliwość łatwego zarobku i lepszego życia. Tymczasem w Nowym Jorku wegetowali w skrajnym ubóstwie, przymierali głodem, byli dziesiątkowani przez choroby. Przeważającą ich większość stanowili Irlandczycy, których w całych Stanach Zjednoczonych było około 10 milionów. Sienkiewicz rozpoznawał ich po elementach narodowego ubioru, niebieskich oczach, pięknych blond lub ciemnych włosach, silnej budowie ciała, niesamowitej żywotności widocznej w ruchach i mowie. Trudne warunki, w których żyli, sprzyjały objawieniu się w pełni ich nieokiełznanej natury, gorących namiętności. Pili, grali w karty, oddawali się rozpuście, ale przed całkowitym upadkiem moralnym powstrzymywała ich głęboka religijność. Byli gorliwymi katolikami i z myślą o zbawieniu znosili wszelkie cierpienia i przeciwności losu. Tym spośród nich, którzy przenieśli się na Dziki Zachód, wiodło się dobrze, zostawali nawet milionerami. Sienkiewicz był pod wrażeniem szczególnej więzi wspólnotowej, która łączyłą Irlandczyków – ich solidarności, wielkiej miłości do Irlandii i równie wielkiej nienawiści do Anglików. W obrębie ich nacji następował szybki przyrost naturalny, bo posiadanie dzieci uważali za błogosławieństwo boże. Co więcej, Litwos był przekonany, że Irlandczycy byli niezbędni Ameryce, gdyż „wnoszą pewien pierwiastek idealny w to na wskroś zmaterializowane społeczeństwo”. Uważał bowiem, że rozwój wspólnoty wymaga utrzymania pewnej równowagi między pierwiastkiem idealnym a materialnym, ponieważ dominacja idealizmu prowadzi do marzycielstwa i „politycznej donkiszoterii”, a prymat realizmu tamuje rozwój, unicestwia kreatywne myślenie, zabija narodową fantazję i wszelką inicjatywę twórczą.

Szorstkie, demokratyczne dzieci Ameryki

W rodowitych Amerykanach uderzył Sienkiewicza brak ogłady i grubiaństwo. Cudzoziemca traktowało się tu oschle i obojętnie, bez zbytecznej grzeczności, w której celowali u nas Francuzi. Wiecznie spieszący się mieszkaniec Nowego Jorku zapytany o drogę, choćby ją dobrze znał, odpowiadał zawsze: „O! I don’t know”. Sienkiewicz tłumaczył ten rodzaj zachowania nieufnością Amerykanów do przyjezdnych, z których większość to biedni emigranci, często z ciemną przeszłością, sami nieokrzesani i dopytujący się o wszystko, by jak najlepiej urządzić się na nowym kontynencie. Ponadto Amerykanie uważali się za najlepszy naród na świecie, choć w istocie to „wielki zbiór ludzi wszelkich narodowości”.

Sienkiewicz kreślił portret typowego nowojorczyka nastawionego przede wszystkim na zrobienie fortuny. Aby osiągnąć ten życiowy cel, od rana do wieczora z „gorączkową namiętnością” oddawał się on pracy. O wartości Amerykanina decydowało więc to, ile posiadał, bo „nie mówią tu: człowiek ma tyle a tyle, ale: wart jest tyle a tyle”. Gdy w końcu przychodził czas na odpoczynek, przeciętny Amerykanin wydobywał z kieszeni kłak tytoniu, ucinał go scyzorykiem, wkładał do ust i żuł ze smakiem. Siadał wówczas w fotelu na biegunach, nogi kładł na stole lub oknie i przez wiele godzin oddawał się swojemu ulubionemu zajęciu – cięciu scyzorykiem, co miał pod ręką – poręczy krzesła, ramy okna czy przeznaczonych specjalnie na to kawałków drewna. Co więcej, jeśli Amerykanin znalazł się w towarzystwie osoby z wyższych sfer, „wówczas niezawodnie [...] coś krajał scyzorykiem i milczał pogardliwie niby dla okazania, że jako prawdziwy republikanin i demokrata nic sobie nie robi z owej wykwintności i ogłady, których w głębi duszy innym zazdrości i których braku się wstydzi”. Największą odrazę u Sienkiewicza wzbudzał powszechny tu zwyczaj spluwania. Większa część mężczyzn, jak zauważył, „porusza systematycznie szczękami, jakby należała do zwierząt przeżuwających, i spluwa co chwila obrzydliwy sos tytoniowy”. Wszędzie więc, w domach prywatnych i gmachach użyteczności publicznej, ustawione były spluwaczki.

Sienkiewicz okazał się świetnym obserwatorem amerykańskiego społeczeństwa, które próbował pokazać czytelnikom „Gazety Polskiej” w sposób wielowymiarowy, odsłaniając różne sfery życia Amerykanów i wnikając w ich światopogląd i system wartości. Nieustannie porównywał też amerykańską i europejską cywilizację, ukazując blaski i cienie obu kultur. Nowy Jork to dla niego miasto, w którym rządzi pieniądz, a którego symbolem jest giełda na Wall Street. To również miasto kontrastów, gdzie wspaniałe luksusowe hotele sąsiadują z biednymi dzielnicami portowymi, a obok milionerów egzystują na skaju nędzy emigranci z Irlandii i ubodzy murzyńscy wyrobnicy. Choć wiele rzeczy nie podobało się tu Sienkiewiczowi, to jednak był pod wrażeniem Amerykanów, w których widział ogromny potencjał i niczym nieograniczone pragnienie działania.

III

Koleją Dwóch Oceanów przez prerie

Sienkiewicz żegnał się z Nowym Jorkiem i wsiadając do pociągu Kolei Dwóch Oceanów, wyruszał na Zachód ku coraz dzikszym rejonom Ameryki.

Podróż trwała siedem dni i siedem nocy, podczas których Litwos mógł obejrzeć wszystko – rozsiane po wielkich przestrzeniach farmy, słynny wodospad Niagara, wielkie pojezierze Michigan przypominające mu polskie Prusy, majestatyczne Chicago – „miasto zbudowane przez olbrzymów i dla olbrzymów”, bezgraniczne prerie i dzikie góry Sierra Nevada, dworzec kolejowy w Sydney z głowami bizonów wbitymi na pale i wreszcie złotą Kalifornię.

Tabliczka czekolady na powitanie

Im dalej na Zachód, tym w pociągu robiło się coraz tłoczniej. Dosiadali się nowi pasażerowie, a raczej brodacze z rewolwerami wystającymi z tylnych kieszeni, o twarzach coraz dzikszych. Ich celem były Czarne Góry, gdzie niedawno odkryto złoto. Kraina ta w świetle prawa należała do Siuksów, najliczniejszego plemienia indiańskiego na północy. Choć została im przyznana na własność przez rząd Stanów Zjednoczonych, biali zawłaszczali ją siłą, tępili Indian i sami zakładali osady na zdobytych przemocą terenach. Siuksowie, próbując ochronić się przed awanturnikami, wysyłali do rządu poselstwa z pergaminami i pieczęciami potwierdzającymi jej posiadanie. Ale władza okazała się bezsilna wobec uzurpatorów. Ten sam mechanizm wydzierania ziemi Indianom działał w całej Ameryce – w Dakocie, Nebrasce, Kansas, w Indian Territory, a rząd przyglądał się temu procederowi z założonymi rękami, by potem móc oficjalnie zalegalizować opanowane tereny i przyłączyć je do Stanów Zjednoczonych. Sienkiewicz w tej nierównej walce stawał po stronie Indian. Próbował wczuć się w ich dramatyczną sytuację i miał świadomość, że czerwonoskórych czeka niechybna zagłada. Wiedział także, że jedynym środkiem obrony była dla nich wojna – wojna straszna, bo „bez nadziei zwycięstwa, tylko o śmierć”.

Sienkiewicz pierwszy raz w życiu zobaczył Indian, gdy jego pociąg zatrzymał się na stacji w Ketchub i oczywiście swoimi wrażeniami z tego niezwykłego spotkania nie omieszkał podzielić się z czytelnikami „Gazety Polskiej”. Ujrzał wtedy siedzących wokół ogniska sześciu niemłodych już wojowników z plemienia Siuksów, którzy jako posłowie zdążali na wschód. Mieli na sobie częściowo skóry, częściowo zaś odzież europejską bądź derki z napisem U.S. (United States), które rozdawał im rząd Stanów Zjednoczonych. Ich rozpuszczone, długie, czarne włosy zdobiły pióra i kawałki wstążek oraz innych jaskrawych materii. Uzbrojeni byli w „kentuckie rajfle”, małe siekierki zwane tomahawkami oraz większe i mniejsze noże. U pasa każdy z nich nosił skalpy, czyli włosy zdarte wraz ze skórą z głów nieprzyjaciół. Wokół Indian utworzyło się zbiegowisko. Biali złorzeczyli i przeklinali, a czerwoni wojownicy – nad wyraz spokojni i milczący – przybrali postać niewzruszonych posągów. Nie reagowali na wrogie odgłosy tłumów, groźne spojrzenia i gesty, zdawali się jakby nieobecni, pogrążeni w rozmyślaniach, a ich spojrzenie było obojętne, a nawet apatyczne. Sienkiewicz nie dał się jednak zwieść temu kamiennemu wyrazowi twarzy, bo wiedział przecież, że w tych dzieciach natury płynie gorąca krew i targają nimi gwałtowne namiętności, których jednak nigdy nie okazują na zewnątrz. „Prawdziwy wojownik – pisał Litwos – umie panować nad sobą; podczas gdy w duszy jego wre zwierzęca wściekłość, umie spoglądać na swą ofiarę owym spokojnym wzrokiem, od którego krew krzepnie w żyłach. Nawzajem, gdy nieprzyjaciele schwytawszy go przywiążą do pala męczarni, wówczas nie wydaje bólu najmniejszym drgnieniem muskułu”. Taki był ideał indiańskiego wojownika – dumnego, odważnego i niezłomnego. Gdy jednak Sienkiewicz przyjrzał się Siuxom z bliska, zauważył, że są nadzwyczaj brudni i obdarci, a ich zapach nie ustępuje wydzielanemu przez amerykańskie skunksy. Początkowo obojętni na jego osobę Siuksowie, ożywili się, kiedy usiadłszy w ich kręgu, wyciągnął zza pazuchy paczkę cygar i czekoladę. Gdy znajomy Francuz przedstawił go jako młodego wojownika z Północy, który należy do plemienia przyjaznego czerwonym i chce zawrzeć z nimi znajomość, pierwsze lody zostały przełamane. „Twarze ich i oczy – wspomina Litwos – pozostały wprawdzie równie nieruchome, ale ozwało się przygłuszone chrapliwe »halo!«, ogromne brązowe łapy wyciągnęły się łapczywie w kierunku podarków i tak czekolada, jak i cygara znikły natychmiast w paszczach moich nowych sprzymierzeńców. Przez chwilę słychać było tylko chrupotanie nieszczęsnych tabliczek [...] ofiarowanych mi przez piękne rączki jeszcze w Warszawie, potem nastała uroczysta cisza”. Tak wyglądało pierwsze zetknięcie naszego korespondenta z czerwonoskórymi, o których bohaterstwie niedługo przekonać się mieli biali, gdy wódz Siuksów, Siedzący Byk, pokonał w krwawej bitwie wojsko amerykańskie pod dowództwem generała Custera.

Derka za wolność

Sienkiewicz z całym obiektywizmem starał się wniknąć w istotę konfliktu Amerykanów z Indianami. Miał świadomość, że czerwonoskórzy to wojownicy nieznający litości dla wroga, ale to właśnie biali, według twórcy „Sachema", przewyższali ich okrucieństwem i bezwzględnością, żywiąc do nich jedynie nienawiść i pogardę. „Pograniczni biali – pisał – zupełnie nie uważają Indian za ludzi, wytępienie zaś ich poczytują za zasługę wobec ludzkości. Człowiek biały, według pojęć pogranicznych, ma takie samo prawo tępić Indian, jak grzechotniki, szare niedźwiedzie i inne szkodliwe stworzenia".

Dla autora „Listów z Ameryki" najbardziej dramatyczny charakter miało starcie Indianina z cywilizacją, która była dla niego czymś zupełnie obcym, czego nie potrafił zrozumieć i zaakceptować. Przede wszystkim zaś cywilizacja ta odbierała mu wolność i to wszystko, co do tej pory stanowiło esencję życia tego człowieka natury: „Najprzód odejmują mu cały obszar stepów bez końca, a dają kawałek ziemi, której on nie umie uprawiać. Dają mu derkę, a zabierają wolność. Piękna zamiana! Dziki wojownik, siedząc na grzbiecie mustanga, przebiega stepy, poluje, walczy, oddycha całym obszarem piersi; jemu to życie dzikie, stepowe – potrzebne jak ptakowi powietrzne przestrzenie; on bez tego obejść się nie może; schnie i umiera. Pomyślmy zatem, co zyskuje, a co traci, przyjmując tak zwaną cywilizację. Przede wszystkim mrze z głodu na swoim kawałku roli; ciż sami bracia, którzy prawili mu o cywilizacji, pogardzają nim teraz tak, jak w Europie Cyganem, a w rezultacie nic też innego nie pozostaje mu jak cygańskie życie: żebranina i małe złodziejstwa, i wegetowanie z dnia na dzień, wśród którego podleje do ostatka". W rezultacie stawał się ofiarą zachłanności białych, bo jak obrazowo przedstawiał to Sienkiewicz – kupiec go oszukiwał, awanturnik skalpował, traper polował przed jego wigwamami na bawoły, rząd amerykański odzierał z ziemi. Przerażał pisarza obraz ucywilizowanych Indian, którym, jak twierdził, biali odebrali „ziemię, wodę i powietrze", dając w zamian „wódkę, ospę i syfilis". W ten sposób rozbijał wolnościowy mit Ameryki, wskazując na kontrast między proklamowaniem powszechnej wolności i równości a polityką wyniszczania Indian. Jego zdaniem to właśnie Europejczycy powinni spełnić misję cywilizacyjną względem czerwonoskórych – przystosowywać ich stopniowo do osiadłego trybu życia i uczyć uprawy roli, bowiem nie potrafią od razu przywyknąć do nowej cywilizacji, która jest dla nich „za trudna" do przyjęcia. Indianie natomiast, zdaniem Sienkiewicza, nie byli aż tak prymitywnym ludem, jak wydaje się to Europejczykom, gdyż wytworzyli własną kulturę, w którą trwale wpisały się ich mity, podania oraz poezja z pieśniami wojennymi i pieśniami o śmierci.

Wzrok, dusza i myśl gubi się w tych stepach…

Sienkiewicz podróżując Koleją Dwóch Oceanów, chłonął niepowtarzalne krajobrazy dzikiej Ameryki i tworzył z właściwym sobie wyczuciem szczegółu niezrównane opisy bezkresnych prerii, które ciągnęły się na długości, jaka oddzielała Warszawę od Madrytu. Polskiego pisarza uderzył widok tego olbrzymiego i bezdrzewnego stepu porosłego tylko trawą, wrzosem i gdzieniegdzie nędznymi krzakami wierzbiny. Sposób doświadczenia tej bezgranicznej przestrzeni pozwalał dostrzec w Sienkiewiczu pewne cechy romantycznego wojażera, człowieka, który zespalając się z pierwotną naturą, doznawał poczucia nieskończoności bytu i otwierał się na transcendencję. „Cisza ta jednak i pustosz – wyznawał pisarz – ma swój głęboki urok. Rzekłbyś: nie tylko wzrok, ale i dusza, i myśl gubi się w tych stepach, porzuca drogi, którymi chodzić zwykła, zapomina o swoim »ja«, zlewa się z otoczeniem i przez chwilę zdaje się żyć nie własnym życiem, ale całą potęgą stepów, w której roztapia się jak kropla wody w morzu". Tak oto według Sienkiewicz zrodził się panteizm – pierwotna religia świata wypływająca z tęsknoty człowieka za rozpłynięciem się we wszechogarniającym bycie przepojonym boskim pierwiastkiem. „Człowiek na łonie natury i wobec natury nie może oprzeć się poczuciu, że stanowi z nią jedno i toż samo, że w nim i w całym otoczeniu jest tylko jedna wielka dusza". Taka też refleksja egzystencjalna towarzyszyła współczesnemu wędrowcowi, który z dala od cywilizacji, pośród dzikich pejzaży, pragnął doznać łączności z wszechświatem, z tym, co odwieczne i co nie ma końca. „Cóż bowiem jest w tej bezbrzeżnej równinie stepowej? – sam siebie pytał Sienkiewicz – Nic. Pustka tylko. Szara dal zlewa się z niebem na krańcu widnokręgu – milczenie wokoło: głusza, śmierć prawie. A jednak step nęci i wabi. Chciałbyś siąść na koń i puścić się nim, i gonić, i gonić; chciałbyś, ot, wykąpać się w nieskończoności i rozłożyć ręce na koniu, i krzyczeć: »Hej! Hej, stepy!« – i zapamiętać się w nich, i obłąkać, i żyć". Czytając te Sienkiewiczowskie opisy prerii, chciałoby się powtórzyć za Antonim Malczewskim, twórcą genialnej powieści poetyckiej „Maria": „I przez puste bezdroża król pustyni rusza – A step – koń – kozak – ciemność – jedna dzika dusza". Dla Litwosa owo nigdy niezapomniane doświadczenie przestrzeni amerykańskich stepów stało się w przyszłości impulsem do stworzenia obrazu Kresów w jego „Trylogii".

Sienkiewicz zapoznał czytelników „Gazety Polskiej" m.in. z wyglądem, zachowaniem i zwyczajami borsuka, którego schwytał i oswoił. „Był to – jak pisał nasz podróżnik – młody, roczny samiec, pokryty pięknym futrem koloru szopów, z białym łyskiem na głowie i czarniawym pyszczkiem. [. . .] W kilka dni potem stracił już dzikość, a w tydzień może, gdym się do niego zbliżył, przewrócił się nagle na grzbiet, a machając nogami i warcząc począł okazywać swoją radość. Zacząłem się z nim bawić: dałem mu rękę, on zaś udawał, że ją gryzie, zupełnie jak młody psiak. Jest to stworzenie bardzo pojętne i łagodne, [. . .] bardzo czyste [. . .]. Z powodu swej pękatości [. . .] ruchy ma ociężałe i śmieszne. Jest to skończony safanduła. [. . .] W stanie dzikim, gdy psy opadną go z dala od jamy, przewraca się podobno na grzbiet, aby mieć wolne do obrony wszystkie cztery łapy uzbrojone w straszliwe pazury". Opis ten świadczy o wrażliwości Sienkiewicza na każdy indywidualny przejaw życia natury, na bogactwo istnień, na ich niepowtarzalność.

Kowboj na koniu, zdjęcie z 1887 roku

Amerykański raj wśród kaktusowych lasów

Miejscem, które najbardziej urzekło naszego wojażera z Warszawy, okazała się Dolina Anaheimska w południowej Kalifornii. To kraina dojrzewających cytryn i kaktusowych lasów, gdzie „każdy dom tuli się pod zielone warkocze drzew pieprzowych, tamaryd, palm, rycynusów, oleandrów, winogradów, fig i drzew gumowych". Wszędzie pięły się bluszcze o ogromnych liściach, tworząc festony i kopuły zieloności, pod którymi w godzinach południowych panował przyjemny chłód. Powietrze przesycał zapach heliotropów, lilii, róż, kwiatów pomarańczowych, na których kołysały się motyle bądź skrzące się tysiącem barw kolibry, owe beniaminki wszystkich ptaków wijące swe gniazdka na liściu pomarańczy. Sienkiewicz miał wrażenie, że jest w rajskim ogrodzie pełnym egzotycznych roślin i przedziwnych stworzeń. Przyglądał się tu z ciekawością szaremu pszczołojadowi z żółtą piersią, drozdowi-przedrzeźniaczowi, co naśladował miauczenie kota bądź ludzki śmiech, a nawet małym szpakom wypełniającym ciszę „dźwiękiem srebrnych dzwoneczków". Przemierzał kaktusowe lasy kryjące nieprzeliczone ilości zajęcy, ziemnych wiewiórek, kujotów i borsuków. Każdej istocie przyglądał się z osobna, dostrzegając w niej fenomen natury wart odkrycia i opisania.

Z zapałem badacza i miłośnika przyrody opowiadał Litwos o kujotach, czyli wilczkach stepowych, wiewiórkach ziemnych zwanych tu goframi, o srebrnych bażantach, grzechotnikach, rekinach grasujących nad brzegami Kalifornii, o rajach – płaskich rybach z wydłużonym jak u prosięcia ogonem, o wygrzewających się na słońcu lwach morskich, strasznych polipach-cefalopedach – „galaretowanych potworach z dziobem papugi i długimi wąsami, z pomocą których wysysają ryby, kraby, młode foki, a nawet, jak mówią, i ludzi".

Nic więc dziwnego, że to rajskie Anaheim nad Oceanem Spokojnym wybrał Sienkiewicz na miejsce założenia „polskiej osady", do której ściągnąć mieli niebawem jego przyjaciele z Warszawy.

Amerykańska idylla a rzeczywistość

Tymczasem nasz zapobiegliwy Litwos wynajął w okolicy obszerny dom z ogrodem, zgromadził zapasy żywności i czekał z niecierpliwością na przyjazd przyszłych farmerów z Warszawy. Polscy intelektualiści i artyści mieli przeobrazić się tu w prawdziwych pionierów – karczować las, spławiać drzewo i uprawiać rolę. Zabrali ze sobą wszystko, co wydawało się im konieczne do życia na odludziu – dwa duże pudła lekarstw, instrumenty chirurgiczne, strzelby, sześć rewolwerów, teleskopy, ciężkie dery, mosiężne zawiasy do drzwi i oczywiście, jak przystało na miłośników literatury – dwie paki książek. Wreszcie tak długo oczekiwani kolonizatorzy dołączyli do Sienkiewicza. Przyjechała Helena Modrzejewska z mężem i synem Rudolfem, Julian Sypniewski z żoną i dwójką dzieci oraz Lucjan Paprocki. Początki wspólnego życia w głuszy zapowiadały się nader optymistycznie. Mężczyźni urządzali polowania, kobiety gotowały, a wieczorami zbierali się wszyscy, by słuchać muzyki, czytać książki i wpatrywać się w piękne kalifornijskie niebo. Duszą towarzystwa i strażniczką domowego ogniska stała się Modrzejewska, która tak oto wspominała okres wspólnego gospodarowania na farmie: „Pierwszego dnia, kiedy moi panowie zebrali się do okopywania sadu pomarańczowego, wyglądali na zapalonych, pełnych energii i entuzjazmu, w przewidywaniu wielkich radości, które da im zetknięcie się z Matką Ziemią. […] Kiedy powrócili w południe na wczesny obiad, wciąż jeszcze byli pełni zapału, ożywieni rozmową, […] podnieceni różową perspektywą wyciśnięcia fortuny z urodzajnych gruntów Kalifornii. Wieczorem powrócili pomęczeni, ale pełni nadziei. Mój syn podszedł do pianina, żeby zagrać walca Chopina i przekonać się, czy mu palce nie stwardniały od gracy – a po kolacji Sienkiewicz, na przekór zmęczeniu, odczytywał nam jeden ze swoich »Szkiców węglem«. […] Następnego dnia rano część towarzystwa spóźniła się na śniadanie; trzeciego dnia niektórzy uskarżali się, że »nie czują pleców«, a po tygodniu dwóch tylko obstawało przy dalszej pracy, tj. mój mąż i syn. […] Na każdym kroku spotykał nas bolesny zawód. Mieliśmy kilka krów, ale nie było komu ich doić, tak że mleko, masło i śmietanę musieliśmy kupować od sąsiadów. Mieliśmy kury, ale nasze kochane psy […] stale żywiły się ich jajami. Mieliśmy winnicę dającą piękny zbiór muskateli, ale nie było na nią kupców".

Marzenie o amerykańskiej idylli nie wytrzymało, jak widać, konfrontacji z rzeczywistością. Początkowy zapał i entuzjazm naszych osadników zaczął ustępować miejsca zmęczeniu i rozczarowaniu. Niedługo więc przyszło się im pożegnać z Kalifornią. Większość zdecydowała się na powrót do Europy, natomiast Helena Modrzejewska postanowiła podbić amerykańskie sceny,

a szlakiem jej wielkich tryumfów aktorskich wyruszy niebawem Sienkiewicz.

IV

Polski Robinson Crusoe

Dla naszego podróżnika pobyt w Anaheim był czasem niezapomnianym, a farma doskonałym punktem wypadowym w dziewicze rejony Kalifornii. Nie tę jednak ucywilizowaną Amerykę, ale tę dziką i pierwotną pokochał Sienkiewicz całym sercem.

Zapragnął stać się polskim Robinsonem Crusoe, stanąć oko w oko z niebezpieczeństwami, zasmakować życia pełnego przygód, zmierzyć się z groźnymi żywiołami natury w nieprzebytej puszczy: „Zawsze marzyłem o tym, abym kiedykolwiek w życiu mógł ujrzeć owe kraje bezludne jeszcze, w których potężne siły natury [...] żyją, jak chcą, tworzą, co chcą, i panują absolutnie [...]. Tu przy tym za przewodnika służy ci twój własny instynkt, sypiasz pod gwiazdami w rozpadlinie skalnej, którą własnymi rękoma musisz poprzednio oczyścić ze skorpionów i węży; grzejesz się, jeśli sam napalisz ogień, jesz, co sam upolujesz, jednym okiem śpisz, drugie gubisz w ciemnościach, badając niebezpieczne ich głębie; zrywasz się na lada szelest; chwytasz za karabin, gdy pies zawarczy i zjeży sierść na karku”.

Niezrażony zdobywca puszczy

Tego wszystkiego doświadczył nasz nieustraszony wojażer, wyprawiając się w góry i goszcząc w kanionie u amerykańskiego skwatera Jacka Harrisona. Prawdziwą Amerykę odkrywał bowiem nie w miastach, ale w leśnej głuszy, w wiejskich osadach, na pograniczach i pobrzeżach, w górach, słowem wśród prostego ludu. Tam odnajdywał jej „moc, zdrowie i przyszłość”, a Harrison był dlań uosobieniem tego, co najlepsze w charakterze Amerykanów i najwartościowsze w amerykańskiej cywilizacji. Ujął Sienkiewicza swoją troskliwością i przyjaźnią. Nie był wprawdzie człowiekiem uczonym, ale posiadał elementarne wykształcenie jak większość obywateli Stanów Zjednoczonych. Z pewnością zaś stanowił amerykański typ twardego mężczyzny, który żyje pełnią życia, jest autentyczny i prostolinijny, odważnie mierzy się z przeciwnościami losu, prawdziwie kocha United States, „jest z nich [...] dumny i gdy Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie, nie namyśla się, nie ogląda, ale zdejmuje swój Kentucky rifle z kołka, ryczy jak buhaj, a staje jak jeden mąż”.

Pobyt u Harrisona, w puszczy, która była jego domem, okazał się dla Sienkiewicza szkołą hartowania ciała i ducha, dzięki czemu stał się prawdziwym trampem, myśliwym, człowiekiem odkrywającym dziewiczą urodę puszczy, a do tego przyjacielem skwaterów i czerwonoskórych. „Rozkochałem się tu w ludziach, w naturze i w tym życiu zdrowym, potężnym, a tak wolnym, że nieraz mi się zdaje, że jestem ptakiem. Co to za skarb jest nieograniczona wolność, to znowu tylko tu można się przekonać” – pisał potem w listach do przyjaciół. Całymi godzinami włóczył się po lesie, polując na bażanty ukryte w kaktusach i na wielkie górskie kuropatwy. Zdobył nawet własną kolekcję ponad dwudziestu ogonów węży, których wiek rozpoznawało się po ilości „grzechotek”. Jego dumą stał się zaś dziki mustang, którego udało mu się oswoić. Na łonie nieujarzmionej natury ogarniała go nieprzezwyciężona chęć pisania. Chciał podzielić się z czytelnikami „Gazety Polskiej” wszystkimi swoimi przeżyciami, chociaż warunki ku temu okazały się bardzo trudne. U Harrisona nie było ani stołu, ani krzeseł. Zwykle więc siadywał na kamieniu w parowie, przy którym też jadał, a w nocy kładł się na mchu pod namiotem. Nie zraziły jednak tego zdobywcy puszczy żadne przeciwności i, jak na prawdziwego Robinsona Crusoe przystało, urządził sobie w niej własny „gabinet pisarza”. Z pustego szafkowego ula zrobił stół z szufladą chroniącą papier przed rosą, a z kilku szkieletów wołowych – krzesło, na którym mógł „rozpierać się jak Voltaire w swoim fotelu”. Uczył się też fachu cieśli, pomagając Jackowi w stawianiu chaty. Tym sposobem w kalifornijskiej głuszy powstał dom Amerykanina i Polaka, człowieka natury i warszawskiego pisarza. Składał się z jednej izby mogącej pomieścić dwa posłania z mchu, kilka czerepów wołowych i kąt do pisania, w którym powstawały „Szkice amerykańskie z puszczy”, z niecierpliwością wyczekiwane przez czytelników „Gazety Polskiej”.

W nadsyłanych z Ameryki listach Sienkiewicz próbował wstrząsnąć polskim społeczeństwem i przekazać mu całą prawdę o zbrodniczej polityce wobec Indian. „Dziś czerwoni wojownicy – pisał – wiedzą już, że nie wytrzymają boju z »Długimi Nożami«, jak nazywają białych, idzie więc im o to, aby nie zginąć bez zemsty i żeby na tamtym świecie złożyć u nóg »Wielkiego Ducha« jak najwięcej krwawych skalpów zdartych z głów najeźdźców. Krótko mówiąc, rasa ta dzielna, choć dzika, ginie nieubłaganie na całej przestrzeni Stanów. Z cywilizacją, którą zresztą pod najgorszą postacią im się przedstawia, pogodzić się nie umieją i nie mogą, więc cywilizacja ta ściera ich z powierzchni ziemi równie nieubłaganie jak brutalnie”.

Sienkiewicz w puszczy kaktusowej Stanisława Witkiewicza. Pamiątka po podróży do Ameryki

W następnych listach będzie łgał więcej

Amerykańskie korespondencje Litwosa przesycał żywioł przygody, tak że przypominały momentami western w najlepszym wydaniu, którego bohaterem jest człowiek mierzący się z wszelkimi niebezpieczeństwami, próbujący okiełznać dziką naturę, znoszący z uporem trudy koczowniczego życia. Odnajdujemy więc naszego pisarza w różnych, niekiedy mrożących krew w żyłach sytuacjach – najczęściej ze strzelbą u boku podczas licznych polowań – gdy kładzie trupem wspaniałego jelenia albo gdy uczestniczy w obławie na szarego niedźwiedzia grizzly bądź gdy wyprawia się na bawoły w stepach stanu Wyoming. Widzimy, jak samotnie nocuje pod gołym niebem i jak włóczy się tygodniami po preriach, pędząc obozowy żywot wśród wozów, mułów i koni. Kiedy indziej śledzimy zaś jego zmagania z szalejącym wiatrem pustynnym Santa Ana, który zamienia powietrze w „żar buchający jakby z rozpalonego pieca i przepełniony czadem”. To znów podziwiamy jego hart ducha podczas pościgu za uciekającym mustangiem lub kiedy staje przed nami jako odkrywca złota, które w istocie okazuje się miką.

Czy jednak wszystkie te fascynujące przygody rodem z powieści Daniela Defoe były udziałem naszego Litwosa, czy może autor „Szkiców” puścił wodze fantazji i zadziałał tu czynnik wyobraźni twórczej? Sam Litwos o swoim warsztacie reportera „Gazety Polskiej” pisał w dość żartobliwym tonie w liście do Horaina, akcentując obecność pierwiastka fikcjonalnego w swojej korespondencji: „Czy Pan uważa, że ten genialny młody człowiek – mówił o sobie – rozwija się coraz bardziej, chociaż przy tym łże tak, aż się papier ze wstydu czerwieni? Co więcej: powiem Panu, że w następnych listach będzie łgał jeszcze dwa razy tyle: będzie czytać opisy stepów, niedźwiedzi, bizonów, polowań i wypadków, które mu się przytrafiły, słowem cały romans, w którym prócz osnowy geograficznej i przyrodniczej wszystko jest zmyślone – a tylko pewnymi pozorami prawdy ozdobne. Zresztą nic to dziwnego, bo wszyscy tak robią”.

Można przypuszczać, że „Szkice amerykańskie” zyskały tak ogromną popularność wśród polskich czytelników właśnie dlatego, że pisane były w stylu powieści przygodowo-awanturniczej, że odsłaniały całą egzotykę amerykańskiej ziemi, że przemawiały do wyobraźni i wciągały w wartki nurt wydarzeń. Ożywiało je mnóstwo znakomicie skreślonych portretów – samotnych skwaterów zaślubionych puszczy, nieustraszonych czerwonoskórych wojowników, biednych, ale dumnych ze swego pochodzenia Meksykanów czy pragmatycznych i goniących za fortuną nowojorczyków. A do tego przysłużył się niemało jedyny w swoim rodzaju styl Litwosa, o którym Żeromski miał powiedzieć: „Co za styl wściekły: raz śmieje się sam z siebie i drugich, a drugi raz tak serdeczną łzą zapłacze, że płakać z nim musisz koniecznie”. I chociaż amerykańska korespondencja Sienkiewicza przesiąknięta jest żywiołem literackim, to jednocześnie ujawnia głęboką prawdę o Ameryce i jej mieszkańcach, którą przekazuje jako publicysta i reporter. Jest to wiedza rzetelna czerpana z książek, naocznej obserwacji podróżnika, a przede wszystkim zdobyta za pośrednictwem osób doskonale zorientowanych w problemach społeczno-politycznych i ekonomicznych kontynentu, wśród których znalazł się m.in. Julian Horaina, dotychczasowy korespondent „Gazety Polskiej” z Ameryki. Czytając listy Sienkiewicza, mamy nieodparte wrażenie bezpośredniości czy naoczności relacji, gdyż działa tu zasada „widzę i opisuję”, a nasz gawędziarz stosuje konsekwentnie czas teraźniejszy, wciągając czytelników w swą historię i tworząc iluzję dziania się wszystkiego na ich oczach. Sceny i obrazy zmieniają się zaś jak w kalejdoskopie, dostarczając wciąż nowych wrażeń i emocji. Jedno jest pewne, „Listy z Ameryki” drukowane po raz pierwszy w „Gazecie Polskiej” odniosły czytelniczy sukces, a był to, jak podkreśla Julian Krzyżanowski, „pierwszy wielki sukces artystyczny Sienkiewicza”.

Mecenas projektu PKO Fundacja